



DRZEWO PRZEKŁĘTE

ΔΝΤΟΛΟΓΙΑ ΜΥΡΟΧΝΥΧ ΟΡΟΥΕΣΧΙ

ΔΜΟΡΥΚΑ

DRZEWO PRZEKLĘTE

DRZEWO PRZEKŁĘTE

ANTOLOGIA MRO CZNYCH OPOWIEŚCI

**ARMORYKA
SANDOMIERZ 2018**

[Kup książkę](#)

Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2018 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-619-3

[Kup książkę](#)

UPIÓR

Siedzieliśmy u komina; suche drewna olchowe płonęły na nim tym spokojnym ogniem, mieniącym się w barwy zielonawe i fioletowe, na który godzinami całymi człowiek, zapatrzywszy się, zadumawszy, siedziałby, ot tak, z rękoma założonymi. Tyras, głowę położywszy na łapach, drzemał, też nosem zwrócony ku kominowi. Trzech starych myśliwych otaczało ognisko to domowe, które nigdy prawie nie wygasło, ja czwarty tuliłem się w kątku za włosieniem okrytą kanapką. Wabiły mnie tam i pociągały niewypowiedzianym urokiem powieści, które całymi wieczorami starzy sobie o dawnych czasach opowiadali. Mało kto naówczas miał ochotę i cierpliwość wziąć się do pióra, lecz bez żywego słowa nikt się dnia jednego obejść nie mógł. Byli tacy niemal z powołania gawędziarze, których Rzewuski niewłaściwie polskimi bardami nazywał, jeżdżący od dworu do dworu, z imienin na imieniny, goszczący nieraz po kilka tygodni, obwożeni po sąsiedztwie, wszędzie przyjmowani serdecznie, około których, jak tylko zasiedli, wszyscy się ustawiali, podsłuchując ich ciekawie. Opowiadanie ich częstokroć nie było bez kunsztu; historyjki te umieli na pamięć, a za każdym razem przybywał im jakiś wariant, kwiatek, dowcip i rys charakterystyczny. Więc choćby rzecz była znaną, gdy ją przedziwnie pan łowczy lub cześnik opowiadał, skupiono się dokoła, zrywano boki lub łzami się zalewano, słuchając. Tego wieczora poczęło się jakoś od myśliwskich historii mniej zabawnych, ale to był wstęp tylko. Potraścić dosyć było o znane imiona księcia Karola, starosty kaniowskiego, Jabłonowskiego lub Gozdzkiego, jednego ze słynnych dziwaków swojego czasu, aby się pokrewne im postaci, na których nie zbywało, ruszyły i powstały żywe.

Niezliczoną ich moc wydały ostatnie czasy; łatwo to nawet sobie wytłumaczyć można. Gdy zabrakło ludziom, do czynnego, bojowniczego

żywota nawykłym, zajęcia, walk, celu jasnego, bujała fantazja i, niespokojną krew burząc, pędziła na rozstajne drogi.

Gorący ludzie, przykuci do domów, stawali się kapryśnymi dziećmi. Dodajmy do tego rozpojenie przez Sasów i ową potrzebę zabawiania się nieustannego, która za nich weszła w obyczaj, podbudzanie się wzajemne w wielkiej gromadzie, wśród której wszyscy gotowi byli iść na wypródkę, aby się gorszymi nie okazać od innych.

Ze trzech starych, siedzących przy kominie, najciekawszym dla mnie był pan Seweryn Burba, którego pułkownikiem tytułowano, choć bardzo być może, iż już poza służbą grzeczni i kochający go przyjaciele trochę go zaawansowali. Słyszałem dawniej, że go i majorem, i kapitanem zwano; zdaje się, że on sam wcale o te tytuły nie dbał.

Śliczny to niegdyś musiał być mężczyzna, bo nawet już przy siwych włosach i późnym wieku jeszcze w nim dawną tę męską piękność widać było; trzymał się po żołniersku, wyprostowany, a w obejściu się z ludźmi miał coś tak łagodnego, sympatycznego, dobrego, iż trudno go było nie pokochać. Z dawnej młodej twarzy zostały mu były jeszcze niebieskie oczy, patrzące serdecznie, usta, uśmiechające się z wyrazem wielkiej dobroci, wspaniałe czoło i policzki świeże, rumiane, mało nawet pomarszczone, choć miał lat przeszło pięćdziesiąt. Spojrzawszy na niego, można się już było wielkiej siły domyślać, jakoż w istocie znano go, że siłaczem był, choć się z tym nigdy nie popisывał. Wszystko, co żołnierz i szlachcic lubić, znać i umieć powinien, pan Seweryn lubił, znał i umiał, jak nikt lepiej. Koniarz był sławny, choć końmi nie frymarczył, jak drudzy, bo się do nich przywiązywał, strzelał doskonale, powoził wybornie, tylko do kieliszka, którego naówczas nadużywano, pociągu nie miał. Wypił czasem przed obiadem, coś i przy obiedzie, ale jak tylko zabierało się na pijatykę, uchodził. Gdy go zaskoczono, zakłęto, przymuszono, choć się marszczył, pił; naówczas jednak nie było żartów, wszystkich pogrzebał, sam wychodząc, jak trzeźwy. Tylko zawsze to potem (opowiadał) odchorował. Przy kieliszku też takim, gwałtem do gardła wlewany, ani już humoru, ani zwykłej uprzejmości nie miał, dąsał się i ostro stawiał.

Pana Seweryna widywaliśmy goszczącego u krewnych w sąsiedztwie, a widzieliśmy o nim tylko tyle, że człowiek był majątny, który dobra znaczne całe oddał dzieciom, sobie jeden dworek pod lasem, ogród, ordynarię i pensję zostawiwszy. Że okolica, w której mieszkał, dosyć była pusta, a pułkownik z ludźmi żyć lubił, więc częściej pono u krew-

nych i przyjaciół, niż w domu przebywał. Gdy się zatęsknił za dziećmi i wnukami, zwracał do Horodowszczyzny, i parę miesięcy widać go nie było. Zapraszano go z daleka nawet na polowania wszelkiego rodzaju, bo nie tylko myśliwym był wielkim, ale najmilszym w świecie człowiekiem, i przynosił z sobą dobrą myśl wszędzie.

Rzadko się trafia widzieć człowieka, który by w różnych towarzystwach wśród drobnej szlachty i wielkich panów był tak zawsze jednym i tym samym, nie zmieniając się wcale. Nie czynił mu wstrętu stary strzelec w łapciach ani imponował książę z Dereczyna, a choćby i udzielny. Naturalnym był i godność swoją utrzymać umiał, jeden tylko majestat niedoli i cierpienia widoczniejsze na nim czynił wrażenie, przed tym skłaniał głowę z poszanowaniem.

Z przeszłości pana Seweryna, oprócz tego, że wojskowo służył, że wiele po świecie był, potem, do kraju powróciwszy, ożenił się szczęśliwie i gospodarzył, niewiele wiedziałem. A patrząc na tego człowieka, trudno było oprzeć się myśli, że wiele przygód ciekawych w życiu swym przeżyć musiał.

Po anegdotkach myśliwskich tego wieczora zeszło wkrótce na dłuższe opowiadanie o dawnych czasach. Sięgano daleko, w głąb, bo starzy powtarzali to, co od ojców zasłyszeli, częstokroć też ojcowie od dziadów. Tradycje te, jak wszystkie w świecie, są prawdziwe poezje pokoleń; prawda w nich leży niekiedy, ale naokoło jej ziarnka snuje poezja swe ideały. Około imion i charakterów skupiają się blaski, gromadzą cienie, iskrzą barwy, które były duszną potrzebą i pragnieniem tych, co niemi przeszłość malowali. Każdy naród ma takie posągi, które rzeźbiły pokolenia; dziecinną jest i śmieszną krytyka historyczna, przychodząca je mierzyć swoim łokciem małym i dłużyć się w tej patynie szlachetnej, jaką je okryły wieki, aby dobyć spod niej pospolitego kruszcu.

Starzy gawędzili i tak się jakoś zapomnieli, uciekłszy w przeszłość, że mnie z kanapką zostawili, nie zważając może na defraudowanego słuchacza.

Pan Seweryn tego dnia był w humorze wyśmienitym, ubił kozła i dwa zające, ani razu nie chybił, nikt też zwierza nie przepuścił, za co się zawsze gniewał trochę, i pudeł w ogóle było niewiele. Wpłynęło i to zapewne na rozweselenie, że po łowach zjedli smaczno, a teraz u najrozkoszniejszego ognia w świecie siedzieli z fajkami. Płynęły więc historie jedna po drugiej, smutne, wesołe, dziwaczne, niektóre na bajki wygląda-

jące, a z dobrą wiarą przyjmowane; aż pan Seweryn rozpoczął mniej więcej w ten sposób. Zapamiętałem dobrze jego powieść całą, bo żywo mnie naówczas zajęła.

Powróciłem był właśnie do kraju – mówił – którego od lat wielu nie widziałem. Cierpiałem wówczas trochę na postrzał w nodze i, choć rana była zagojona, ból w kości czułem jeszcze. To mnie zmusiło służbę wojskową porzucić. Szczęśliwszy od innych, bo wielu naówczas niespodzianie wracających z własnymi rodzinami mieli zajścia nieprzyjemne – znalazłem brata, który mi moją ojcowiznę ocaloną, kapitałik dosyć znaczny gotów był natychmiast wypłacić.

Uściskawszy go i Panu Bogu za to dziękując, bo niezależność jest rzeczą drogą i dźwignią wielką, obejrzałem się, co tu robić. Ba! *In quo nati sumus* – w którym się urodziliśmy, po żołnierskim chlebie najbardziej mi się gospodarka uśmiechała. Mamy to we krwi. Kupić coś nie trafiało się, trzeba się było rozpatrzeć wprzód lepiej i samego siebie wypróbować. Brat mi na początek radził dzierżawę, nie byłem od tego.

W okolicy i o to było niełatwo, postanowiłem odwiedzić krewnych, których dużo rozsypanych miałem po różnych ziemiach, i poszukać, azali się co nie trafi. Choć odrobinę na nogę napadałem, ale był młody, lubiłem ruch, nie brzydziłem się zabawami, szukałem kobiecego towarzystwa – tylko, nie tak jak dzisiejsza młodzież, która w kobietach to najwięcej ceni, co najmniej warto, myśmy wdychali do ideałów, do powietrznych istot i do dobrego towarzystwa; ażeby się móc zakochać, musieliśmy trafić na taką, z którą mówić było można.

Ale to – *intra parenthesim* – nawiasem mówiąc.

Wybrałem się w drogę jakoś pod zapusty – gdzieś wpadł, pełno było wesołych ludzi, a wojskowego, który wracał z owych wojen sławnych, z owych bojów tytanicznych, co się z hukiem działo tysiąca po świecie rozlegały, każdy witał otwartymi rękami. U niejakiich państwa Moskorzewskich na Podlasiu, ludzi bardzo zacnych, ale wyszłych pono świeżo z małego, dokąd mnie zawieźli krewni moi Zbąscy, zastałem zjazd nadzwyczaj liczny. Moskorzewscy ci dorobili się byli na dzierżawach fortuny znacznej, on sam potem trochę na dobrach spekulował – czasy były takie, że je za bezcen sprzedawano – słowem, przyszli do grosza. A że nie mieli synów, tylko trzy słuszne córki, jak róże rozkwitłe, wesołe, dobre i po Bożemu wychowane panny, młodzież się tam, jak na lep, cisnęła. Ludzie też byli niezmiernie, może do zbytku nawet gościnni; stary,

którego obwołano dusigroszem, miał na sobie dowieść, że, choć zbierał grosze, ale je też wydawać umiał. Naprzykrzona niemal była ta ich gościnność, bo, jak człowieka pochwycili, wyrwać się im było trudno.

Panny, choć były ładne, posażne, mnie jakoś do żadnej z nich nic nie ciągnęło; nie mogłem też zaś myśleć o ożenku, bo za naszych czasów kto gniazda własnego nie miał, nie ważył się w konkury, aby nań nie mówiono, że chciał się z żoninym fartuszką. Zaraz pierwszego dnia Moskorzewski, człek grzeczny, a szczególnie dla mnie, jako dla starego wojskowego, z respektem wielkim, gdy się coś zgadało, że dzierżawę szukam, wystąpił:

– My wam ją tu znajdziemy, jak pana Boga kocham.

Wziąłem to za puste słowo i tylko mu głową kiwnąłem. Drugiego dnia przy śniadaniu wziął mnie na bok.

– Wiesz pan co – rzekł – ja mam już dla waćpana na myśli dzierżawę. O kilka mil stąd mieszkają Boguszowie, rodzina zacna i majątna. Ci mają dobra rozrzucone, on sam takiego gospodarstwa dopilnować nie może, szczęściem dla niego będzie, gdy uczciwego człowieka znajdzie, z którym bezpiecznie mieć do czynienia.

– Ale jakże tak obcesowo wpaść? – rzekłem.

– Znajdziemy chwilę sposobną i kogoś, co tam w tym domu jest położony; pojedzie się ot, tak w odwiedzin, i może się tam coś złożyć. Ludzie wielce grzeczni, mili, a gościom radzi, bo i staruszka się rozerwie.

Chciałem spytać o szczegóły, ale Moskorzewskiego odciągnięto, i na tym się skończyło, tylkom Boguszów zapamiętałem. Tańcowaliśmy dnia tego do upadłego i nie rozeszli aż nad rankiem. Dano nam ze Zbąskim stancijkę osobną do przespania się w oficynie; gdyśmy tam zaszli, a choć pomęczeni, ale rozbawieni, rychło zasnąć nie mogli, o różnych rzeczach rozmawiając, powiadam Zbąskiemu:

– Jacy to Bogusze, co mi u nich Moskorzewski stręczy dzierżawę?

– Jacy Bogusze? – odezwał się Zbąski śmiejąc – otoś mi doskonały. Boguszów i Bohuszów z różnymi przydomkami w Litwie, w Koronie i na Rusi moc wielka. Familia znaczna, rozrodzona, są i majątni, są i ubożsi, nie wiem, o których ci mówiłem. Domyślałem się jednak, że nie o innych, tylko o tych, co w Zabłociu mieszkają, i dlatego ich Boguszami–Zabłockimi nazywają.

– Cóż to za ludzie? – spytałem.

– Najszanowniejsi w świecie – rzekł Zbąski. – Starościna, staruszczenka, anioł dobroci kobieta, mąż jej, jeszcze od niej starszy, żyją, jak para siwych gołębi, syna jedynaka stracili – służył w wojsku.

Wnet mi na myśl przyszło, że miałem Bogusza w szwoleżach, i nie wiedzieliśmy tylko, czy ten sam. Zbąski mi dalej opowiedział, że dwie córki zostało Boguszom, pani Sawicka i Baranowiczowa, które przy rodzicach albo obie lub z kolei przebywały, że miały już dzieci dorosłe itp. Gdyśmy się rozgadywali dłużej, dodał Zbąski, iż staruszka to najmłodsze swe dziecko, syna, który służył w wojsku, kochała niezmiennie, tak dalece, że gdy przyszła wiadomość o jego śmierci, nie śmiano jej powiedzieć, że zginął, a biedna matka była dotąd w nadziei powrotu tego, który już nigdy nie miał powrócić... W złudzeniu tym wolano ją utrzymywać, niżeli odjąć jej jedyny promyk, co życie krzepił i ozlacał. Staruszka sama sobie biedna wymyślała historie najdziwaczniejsze o niewoli tego nieboszczyka, o przebywaniu gdzieś w jakimś nieznanym kraju, z którego powrotu się jego zawsze spodziewała.

– Mówię ci to – dodał Zbąski – zawczasu, ażebyś, jeżeli tam pojedziemy, nie wygadał się z czymś niepotrzebnie. Moim zdaniem byłoby okrucieństwem tej matce odejmować ostatnią życia nadzieję.

Zdało mi się to trochę dziwnym, przyznaję, że ją tak okłamywano – ale cóż mi było do tego? Nazajutrz, gdyśmy się wywczasowali i powstawali, znowu o Boguszach myśląc, przypomniałem sobie mojego szwoleżera i okoliczność jedną, w pierwszej chwili zapomnianą, że dwa czy trzy razy mnie za niego wzięto. Raz nawet, biorąc to za jakiś żart niedorzeczny, pogniewałem się mocno, i o mało do pojedynku nie przyszło. O tym nie potrzebowałem mówić ani Zbąskiemu i nikomu też. – Bawiliśmy się jeszcze dni parę u Moskorzewskich przedziwnie, potem zabrali nas w sąsiedztwo Lewiccy, u których też hasano, choć dom był ciasny; na ostatek Zbąski mi przypomniawszy, żeby do Boguszków jechać, których dobrze zna.

– Tam – rzekł – choć panienek podobno jest parę, ale starzy spokoju potrzebują: zapust więc hucznych nie sprawiają. Bądź co bądź, nie znużymy się bardzo. Mnie Bogusze ci są po trosze krewni; stary wiele razy zapraszał. Jedźmy.

Ruszyliśmy tedy do owego Zabłocia, mil cztery opętanych, saniami. Tymczasem z rana zaraz po trzaskającym mrozie wczorajszym jak lunie deszcz, do południa sanne licho wzięło. Sunęliśmy się połowę drogi po

blocie bez śniegu, szczęściem jeszcze gdzie kałuża była, bo się na dnie zamróz utrzymał. Zamiast przybyć, jakeśmy sobie układali, po obiedzie, dowlekliśmy się dopiero o gęstym mroku. Co tu robić! rada w radę, czy do austerii zajechać i jutrzejszego ranka czekać, czy od razu do dworu? Ja byłem za austerią, Zbąski za dworem. Stańło na moim, ale Żyd, choć mu to było na rękę, żebyśmy u niego nocowali, nie śmiał nas przyjmować, wiedząc, że dostanie burę. Karczma stała nieopodal od dworu; ktoś widać ze sług był w niej, gdyśmy nadjechali – i nadbiegł stary kamerdyner, aby nas natychmiast zabierać.

– To u nas niesłychana rzecz – zawołał – żeby kto nocował w austerii, niech Bóg uchwala! Pan starosta by się gniewał! Nie ma tego zwyczaju!

Jak zaczął naglić, tylkośmy się ogarnęli, bo droga nas wniwecz obróciła, i pojechaliśmy.

Z dała już po dworze wielką zamożność państwa poznać było można. Dwór był staroświecki, murowany, na rodzaj pałacu przerobiony, ogromny. Tuż oficyny, z nim połączone galeriami krytymi, zabudowania pyszne, kaplica, skarbiec. Tylko nie widać było nowej elegancji w tym, ale jakąś staroświecką zamożność, co świecić nie chce, nie zaleca się sobą, a czuć pod nią fundamenty mocne.

Służby w ganku stało dosyć; ale nie strojnej, odzianej skromnie, rumianej, wesołej i dobrze wykarmionej.

Nim przebraliśmy się, zajechali, wysiedli, mrok się zmienił w noc, ciemniuteńko było i w pokojach się już świeciło. W domu panowała ci-sza jakaś uroczysta, spokój jakiś miły. Stary ów kamerdyner w perłowym kontuszu, z zegarkiem na piersiach, tabakierką i chustką do nosa, poufały jakiś, którego w karczmie nie widziałem, bom się w drugiej izbie odziewał, gdy, wyszedłszy naprzeciw ze świecą, spojrzął na mnie, coś mu się zrobiło i zachnął się. Myślałem, że mu się noga ośliznęła czy co – nie zważałem. Szliśmy już do salki bawialnej, do której nas prowadzono. Tu u drzwi stała średnich lat pani i dwie ładne panienki; była to pani Sawicka. Gdy Zbąski pierwszy wszedł, prowadząc mnie za sobą, i zastępująca gospodynią spojrzała na mnie, dostrzegłem, że pobladła dziwnie, mieszała się niezmiernie, obejrzała niespokojna, i jakby się coś stało nadzwyczajnego, słowa z początku odezwać się nie mogła.

Stała tak jakiś czas osłupiała i, nierychło dopiero opamiętawszy się, podała mi rękę, którą ucałowałem. Dwie córki, stojące za nią, równie jak ja, znalezieniem się tym matki zostały zdziwione. Zbąski też ogłupiał.

– Panowie darują – odezwała się głosem przerywanym i niepewnym – ojciec jest trochę niezdrowszy, matka także, ja na chwileczkę muszę wyjść do nich, wracam natychmiast. Misia i Lorcia zastępować będą gospodynią.

Wszystko to mówiła z pośpiechem, oglądając się ku drzwiom, z takim jakimś niepokojem wyraźnym, iż czuliśmy przybycie nie w porę. Ale po cóż nas zapraszano i ciągniono tak gwałtownie. Rzecz była niepojęta.

Grzeczne panienki, które zdawały się nie podzielać i nie rozumieć nawet zakłopotania matki, zaraz po jej odejściu, z wesołością wiekowi swojemu właściwą, zaprosiły nas do stolika, szczebiocząc i starając się rozpocząć jaką taką rozmowę.

Nie było to łatwym, ale katastrofa tego dnia i nagle odwilż, która nam takiego figla splatała, na początek dostarczała wątku. Zbąski i zły trochę i zmieszany tym przyjęciem, usiłował nie pokazać po sobie, co się w nim działo; i nuż opisywać nasze dzieje, naszą sanne, utrapioną podróż i śmieszne jej przygody.

Panny rade by się były tym zabawić i prychały po trosze, ale – matka nie powracała, spoglądały na siebie, widocznie zrozumieć tego nie mogąc, dlaczego uciekła tak prędko i została tak długo.

Wszystkim nam ten kwadrans wydał się godziną, chociaż ja wiedziałem najlepiej o tym, iż więcej kwadransa nie trwało to dziwne położenie, bo siedziałem naprzeciw przepysznego zegara, w szafce brązowej zamkniętego, który miałem czas admiirować.

Przedłużone oczekiwanie na matkę zaniepokoiło w końcu jedną z panienek, która, pokręciwszy się na krzeselku, poszeptawszy coś z siostrą, wyrwała się i pobiegła. Została do bawienia nas dwóch jedna gospoia, na którą wystąpiły rumieńce, wesołość ją opuściła, żal mi się zrobił niezmierny biednej dziewczyny – i to było pono zawiązkiem, jak państwo zobaczycie, daleko gorętszego dla niej sentymentu.

Zbąski, pomimo nadrabiania wesołością, coraz większe też okazywał zakłopotanie, w głowie mu się nie mogło pomieścić, co się stało. Zapytał w końcu pannę, czy nie zasłabł kto w domu?

Panna spuściła oczy i bełkotała coś niewyraźnie:

– Podobno babcia trochę niezdrowa, ale to nic.

Siedzieliśmy, jak na mękach, gdy naprzód powróciła pośpiesznie, mocno zarumieniona druga panna, i w tej chwili prawie otwarły się

drzwi ze strony przeciwnej, a w nich ujrzelśmy prowadzonego pod rękę przez wyrostka, o kiju z wolna wchodzącego staruszka, przygarbionego nieco, który ciekawe oczy wlepił we mnie, nic nie mówił i zdawał się drzeć cały. Powstaliśmy, aby go powitać, nie posuwał się dalej, spostrzegłem, że łyzy miał na oczach. – Wszystko to dla nas było tajemnicą nierozwiązaną; po chwili, przemógłszy się, staruszek żywo pośpieszyć chciał ku nam, a chociaż Zbąski stał na przodzie, jak w tęczę patrzył we mnie. Panienki usunęły się na bok.

– Pan starosta dobrodziej przebaczy – odezwał się, postępując ku niemu – przybyliśmy jakoś nie w porę.

– Ale jak to nie w porę?... – niby ocknąwszy, począł żywo, głosem drżącym i zmuszając się do uśmiechu starosta. – Owszem, Bóg widzi, z duszy i serca radzi jesteśmy, radzi...

Głos mu zawiązał w piersiach, widziałem, że łyzy mu płynęły z oczu, choć usta usiłowały się uśmiechać.

– Serdecznieśmy wam radzi – powtórzył. – Siadajcie, proszę.

Gdy się zbliżył zaprezentowany staroście, podał mi rękę, chwycił moją i wlepił we mnie oczy tak natarczywie, że mi się zmieszał.

Tymczasem panny, jakby korzystały z ukazania się dziadka, pierchły natychmiast.

Zostaliśmy sami. Pacholę, które towarzyszyło Boguszowi, posadziwszy starego na krzesło, samo zaraz wycofało się z pokoju. Zbąski już miał rozpocząć znowu opowiadanie o odwilży i jej skutkach, gdy starosta, niepuszczający mnie z oka, odezwał się do mnie:

– Służyłeś pan wojskowo?

– Tak jest – odpowiedziałem.

– To zaraz widać po człowieku – podchwycił śpiesznie stary. – I ja... i ja miałem... mieliśmy syna w tym wieku, co pan, w wojsku także.

Spłatał się, mówiąc coraz niewyraźniej, i rozpląkał głośno.

Żle mi się zrobiło, wyrzucałem sobie, że moją przytomnością obudził tu takie wspomnienia i zasmucił biednego starca. Zamilkłem strapiiony, przypomniawszy sobie jeszcze moje nieszczęśliwe podobieństwo do owego Bogusza od szwoleżerów. Wyjaśniło mi się teraz wszystko: wejścia niespokojne, łyzy, pomieszanie starszych osób. Nie pozostawało mi nic więcej nad to, jak, otwarcie się rozmówiwszy, wycofać się z położenia, które i dla mnie srodze przykrym było. Odwróciłem się do pana starosty.

– Niech mi pan daruje moją otwartość przy pierwszym spotkaniu – rzekłem – jestem żołnierz to mnie trochę tłumaczy. Widzę, że obudzeniem wspomnień, dla serca rodzicielskiego bolesnych, wzruszyłem państwa i wniosłem z sobą łzy do domu. Pozwól mi, panie starosto, abym się oddalił.

Wstawałem już; staruszek naprzód ręce podniósł do góry, potem, wyciągając je, chwycił moją dłoń i ścisnął silnie.

– Na miłość Boga ukrzyżowanego – zawołał – nie czyń-że mi tej przykrości i tego despektu. Mylisz się waćpan; łzy to są smutne, ale słodkie razem; żywy obraz syna naszego mamy przed sobą – niech się choć tym pocieszę. Zlituj się, nie bierz za złe...

Mówił z taką gorącością starosta, że przez poszanowanie dla wieku i uczucia, jakie okazywał, nie śmiałem się mu sprzeciwiać, siadłem załkopotany, wyrzucając tylko w duchu sobie, żem myśl miał pojechania tu, Moskorzewskiemu, że mi ją poddał, i Zbąskiemu, że mi ją do skutku przyprowadził.

Staruszek, ocierając łzy, wciąż patrzył na mnie.

– Podobieństwo nadzwyczajne – szeptał jakby sam do siebie – niesłychane. Postawa, twarz, głos, ruchy... Boże miłosierny!

Domawiał tych wyrazów, gdy drzwi od pokoiów naprzeciw otworzyły się, i prowadzona przez córkę ukazała się pani starościna.

Osoba była w późnym wieku, a choć od męża młodsza, tak złamana cierpieniem, że się niemal od niego wydawała więcej zgrzybiałą i osłabłą. Szła drżąc, powoli, opierając się na córce i wnuczce. Pomimo wieku i zniekania, które się na smutnej malowało twarzy, starościna była tak piękną, iż malarz by z niej wzór mógł brać do obrazka. Smutkowi jej towarzyszyła taka anielska słodycz w wyrazie ust, wejrzeniu, w składzie wszystkich rysów twarzy, nawykłej życiem do chrześcijańskiej rezygnacji i cierpliwości, iż niepodobna było nie uczuć się wzruszonym widokiem tego oblicza pełnego oraz powagi, dobroci, bólu i spokoju pobożnego.

Nierychło, zbliżywszy się ku nam, podniosła oczy i poczęła się uważnie wpatrywać we mnie i Zbąskiego. Musiano ją zapewne, unikając zbyt silnego wrażenia, uprzedzić o moim podobieństwie do syna. Wzrok miał osłabiony i, gdym z kolei przystąpił do ucałowania jej ręki, wlepiła we mnie oczy, ściskając mnie i nie puszczając ręki mojej. Czułem przyspieszony oddech staruszki, dłoń jej drżała mocno, tchnęła, jakby jej powie-

trza zabrakło, i, nawet nie odpowiedziawszy na moje powitanie, padła na podane jej krzeselko.

Córka dała mi znak głową, ażebym zajął miejsce przy staruszce – musiałem być posłuszny. Siedzieć tak pozeranemu ciekawymi oczyma, jak winowajcy, nie jest miłym; krew mi biła do głowy. Starosta i starościna, niemi oboje, to na siebie, to na mnie patrzali; milczenie stawalo się nad wyraz przykrym.

Starościna wreszcie, jakby na męstwo się wysilając, głowę podniosła ku mnie i spytała z wyrazem pełnym czułości:

– Skąd pan przybywa? Dawno w kraju? Słyszałam...

Chciałem uniknąć wspomnień wojska i wszystkiego, co mogłoby staruszków zasmucić, odpowiedziałem ogólnymi wyrazami, że jechał od brata, że znajdując się w sąsiedztwie, korzystałem ze zrzeczności, aby poznać dom, o którym tyle w obywatelstwie słyszałem itp.

Gdy mówiał, niezbyt zrećcznie się tłumacząc, bom był niezmiernie pomieszany, starościna, pochylona ku mnie, słuchała, usta jej się uśmiechać poczęły, twarz rozpromieniała, oczy zajaśniały, podała mi rękę.

– A! to dobrze! dobrze, ślicznieś pan zrobił, żeś do nas zajechał! tu u nas spocznieś! nieprawdaż? długo a długo?

Nie wiedziałem już, co odpowiadać – lecz, widząc starościnę wesołą, nabrałem śmiałości, pocałowałem ją w rękę i uczułem, że usta zbliżyła do mojej głowy. Pani Sawicka, stojąca tuż, spoglądała niespokojnie i, chcąc ułatwić dalszą rozmowę, poczęła rozpytywać o zapusty u Moskorzewskich i sąsiedztwo. Wmieszał się do rozmowy starosta, zagadał Zbąski, trochę się jakoś ożywiło. Chciałem wśród tego wstać z krzesła i inne zająć miejsce, ale starościna za każdą razą wyciągała rękę i nie puszczala mnie od siebie. Jak na mękach, ścigany wejrzeniami obojga starych, wysiedzialem do wieczery. Do stołu staruszka kazała mi się prowadzić i posadziła obok siebie. Pilnowała mnie przy jedzeniu z troskliwością nadzwyczajną, która niezbyt nawykłego do tych atencji i czułości coraz bardziej kłopotala. W duchu sobie postanawialem nazajutrz rano ani wspomniawszy już o dzierżawie, uciekać.

Tymczasem stało się inaczej, czegoś się nie spodziewałem wcale. Zbąski, który był gaduła nad gadułami, po kilku kieliszkach dobrego wina, plotąc trzy po trzy, o tym i owym, wypaplał się przed starostą, że miałem myśl szukania dzierżawy.

– A to się, mości dobrodzieju, składa, jak nie może przedziwniej – zawołał Bogusz – prawdziwa opatrność Boska. Ja właśnie szukam dzierżawcy! Rozgość się asińdziej u nas, objeżdż, opatrz, jak Bóg miły, zgodzimy się, będzie wilk syty i koza cała...

Starościna, posłyszawszy to, klasnęła aż w ręce, zdawało się, że to ją niepomierne uradowało.

Szczególna rzecz – spojrzała na mnie z wyrazem jakimś porozumienia się i przebiegłości, jakby pochwalała doskonały fortel jakiś i posądzała, że ta dzierżawa była fikcją. Znowu nie wiedziałem ani co to jest, ani co się dzieje. Ale reszta wieczora upłynęła już raźniej i weselej.

Gdy przyszła godzina rozchodzenia się na spoczynek, starościna przywołała kamerdynera, polecając mu, aby pamiętał o wszystkich naszych wygodach. Starosta dawał mu informacje od siebie. Poprowadzono nas do gościnnych pokojów.

Okrutny ciężar spadł ze mnie, aż mi lżej było, wyszedłszy z tego fałszywego położenia. Pokoje wyznaczone były nie tylko wygodne, ale można powiedzieć, zbytownie urządzone. Gdy się stary kamerdyner oddalił, dopierom sobie wodze mógł puścić i rozprawić się ze Zbąskim. Ja brałem to jakoś tragicznie, a mój kolega, co mnie gniewało, komedię czystą robił z tego.

– Starym przypominasz syna! Z czułością są dla ciebie, co w tym u kaduka tak desperackiego! Dzierżawę puszczą ci tanio, któż wie! *In gratiam* podobieństwa, wnuczkę jeszcze mogą wydać za ciebie! A ten się żyyma!

Mnie, przyznaję się, i gniewało i niecierpliwiło, że nie sobie byłem winien te łaski i fawory, ale jakimś nieboszczykowi. Być żywym upiorem nie jest rzeczą miłą.

Chciałem się i dzierżawy wyrzec, a uciekać, ale Zbąski mnie za poły trzymał i aż do połajania przyszło, bo mnie dziwakiem nazwał. Ani ja, ani on nie wiedzieliśmy naówczas, w co wpadłem z tym moim nieszczęśliwym podobieństwem do nieboszczyka szwoleżera. Później znacznie dopiero od matki mojej żony dowiedziałem się, jak rzeczy stały.

Starościna tak była uderzona żywym obrazem ukochanego syna, że sobie powiedziała, iż ja byłem nim w istocie, że się tylko z jakichś powodów chciał pod obcym ukrywać imieniem i że fortelu użyłem, aby do rodziców przyjechać. Na próżno pani Sawicka w początkach usiłowała

jej to wyperswadować, mówić sobie nawet nie dawała, abym ja kim innym był, jak jej synem.

– Co ty mi gadasz! proszę cię – odezwała się do córki. – To on! to on! Widać, że mu jakieś biedakowi grozi niebezpieczeństwo, że się musi ukrywać... Dwóch ludzi tak podobnych do siebie nie może być na świecie, mowa, ruchy, uśmiech... To mój Władzio! to on!

Starosta w początkach usiłował żonie wyperswadować także przewiedzenie to; rozplakała się tylko, zniecierpliwiła; nic nie pomogło.

– Niby ja nie rozumiem! przyjechał za dzierżawą! A tak! Udawajmy, że nie poznajemy... ale to on, serce moje go czuje.

I mąż i pani Sawicka musieli staruszkę przy tym złudzeniu zostawić, mając nadzieję, że następne dni je rozprósza.

Nazajutrz rano, zaledwieśmy się ubrali, starosta kazał się powieść i zasiadł na gawędkę, o wyjeździe mówić nie dawał, myśł dzierżawy chwycił gorąco, kazał przynieść inwentarze, osnuł objazd majątku, na dni kilka rozłożony; a że dnia tego lał deszcz, potrzeba było z oględzinami czekać lepszej pory.

Musiałem przesiedzieć niemal cały dzień ten przy staruszce, która mnie od siebie puścić nie chciała. Jakkolwiek przykrą mi była ta rola cudza, pożyczona, macierzyńskie to przywiązanie, czułość, serdeczność starościny chwyciły mnie za serce. Ja, com matkę stracił zawczasu i ledwie ją sobie przypominałem, znajdowałem w niej tę miłość macierzyńską, której żadna w świecie zastąpić nie może; poddałem się losowi mojemu, powiedziałem sobie, że, mogąc osłodzić biednej staruszce kilka chwil życia, byłbym okrutnym, gdybym dla fantazji jakiejś i dumy się cofał.

Zarazem jednak, czując się sobą i chcąc okazać, jakim byłem w istocie, aby powoli wywieść ją z błędu, już tego dnia nabrałem śmiałości, rozweseliłem się i nadrabiałem fantazją może do zbytku.

Na nieszczęście, co miało pomóc, to jeszcze utwierdzało; znać, że obyczaje i humor nieboszczyka i szwależera, równie jak twarz, do moich być musiały podobne. Im bardziej starałem się być panem Sewerynem, tym więcej byłem Włodziem.

Skutkiem osobistego położenia mojego, jakby w myśl starościny idąc, mąż jej, pani Sawicka, a co gorzej, obie panienki, córki jej, spoufalały się ze mną coraz bardziej i ja z niemi. Młody byłem, a Lorcja, śliczne dziewczę, wesołe, naiwne, od pierwszego wejrzenia uczyniła na mnie

wrażenie. Starościna tegoż dnia, niby odkrywszy moje podobieństwo do syna, pół żartem, pół serio, zażądała, żebym ją mamą nazywał, i poczęła mnie Włodziem wołać. Zatem szło, że pięknych dwóch panien zostało wujaszkiem, co ze śmiechem i wesołością przyjęto za rzecz postanowioną.

Ten żart dozwalał mi się zbliżyć do siostrzenic daleko śmielej niż panu Sewerynowi. Drugiego dnia deszcz nie ustał, siedzieliśmy, jak wprzódy, w domu, ja przy staruszce i już naprawdę przywiązując się do niej, jakby do matki.

Pani Sawicka, nic nie mówiąc, niemymi wejrzeniami dziękowała, starosta był wesół, ja sam pod wieczór zapomniałem o moim położeniu fałszywym.

Tymczasem Zbąskiemu, który już miał myśl starania się o jedną z panien Moskorzewskich, pilno było do nich powracać, mnie samemu tu zostać zdawało się niepodobieństwem. Prosiłem go, błagałem; rwał się, obiecując powrócić, niepodobna go było wstrzymać, a starosta nie tylko mnie nie puszczał, ale o wyjeździe słuchać nie chciał.

Tylem tylko wymógł na Zbąskim, że do najbliższego folwarku o milę od Zabłocia pojechał ze mną na oględziny, a stamtąd wprost miał wracać do Moskorzewskich. Ja zaś dałem słowo najuroczystsze, że przyjadę do Zabłocia. Pani Sawicka, która była w spisku, dojrawszy może, iż bardzo na Lorcię często spoglądałem, tak to zręcznie jakoś ułożyła, iż ona mnie wyciągnęła na słowo.

W Rutkach, folwarku, który miałem dzierżawą objąć, okazały się warunki takie, gleba, wygody, zabudowania, inwentarze, iż na świecie całym nic bym dla siebie korzystniejszego wyszukać nie mógł ze świecą. Zbąski mi powiedział wprost:

– Trzeba być wariatem, żeby ze szczęścia nie korzystać! Bierz, mówię ci, z zawiązanymi oczyma.

Dzierżawa była od św. Jerzego na wiosnę; dom mieszkalny, wcale niezły, choć jutro zająć mogłem. Starosta inwentarz swój zostawił mi z warunkiem oddania *in statu quo*, bez przypłodka.

Szłało się tak, licząc w to piękne oczy Lorci, że, choć miałem wstręt do korzystania z fizjognomii mojej i jakiegoś tam przypadkowego podobieństwa, wyrwać mi się było trudno.

Gdy sam już powróciłem do Zabłocia, a kamerdyner mnie do starosty zaprowadził, zastałem go w krześle z koronką w rękę, powagą jakąś

wielką obleczonego i smutnego. Począł się mnie najprzód rozpytywać o Rutki; nie było im nic do zarzucenia, musiałem prawdę wyznać.

– Mówmy otwarcie – odezwał się starosta – ja lepszego dzierżawcy nad was nie znajdę, a pan, wątpię, byś powolniejszego i wyrozumialszego dla siebie znalazł jurysdatora; nie będę przed nim i tego tał, iż sztucznie bym go chciał zatrzymać w sąsiedztwie dlatęgo, abym mojej biednej Annie uczynił tym przyjemność. Waćpan jesteś żywym wizerunkiem naszego syna; jej przywiązanie do dziecka sprawiło to, że nie obraz jego, ale samo to dziecię chce w nim widzieć. Napróżnośmy się starali jej to wybić z głowy. Urojenia swojego trzyma się jak ostatniej deski wybawienia. Bądź waćpan wyrozumiałym, bądź pobłażającym dla biednej staruszki, Bóg ci to nagrodzi! Nie popełniasz grzechu, czynisz dla nas ofiarę, uczynek dobry! Bóg ci to nagrodzi! – powtórzył.

Stary począł mnie ścisnąć ze łzami; na tym się skończyło; wziąłem Rutki.

Miałem najmocniejsze postanowienie, zmuszonym teraz będąc, zwłaszcza w początkach, co dzień niemal przyjeżdżać do Zabłocia, nie sprzeciwiając się bynajmniej staruszce, nie pomagać jej jednakże do zachowania złudzenia. Ostrożnie rozpocząłem to o mojej rodzinie mówić, to o stosunkach itp.

Starościna słuchała z uśmiechem, jakby żartu, śmiała się, kręciła głową i szeptała:

– Komponuje wybornie.

Naturalnie z tego przyjęcia za syna wypadła rzecz dla mnie najprzykrzejsza, której uniknąć musiałem, bądź co bądź. Starościna chciała mi nieustannie być w czymś pomocą, ciągle mnie obdarzała, pani Sawicka oczyma i ruchami błagała mnie, ażebym przyjmował. Działo się więc tak, że, pozornie biorąc i dziękując, natychmiast na ręce córki składał, co otrzymałem od matki.

Przekonawszy się o moim niezłomnym postanowieniu w tym względzie, pani Sawicka, wcale się nie sprzeciwiając już, odbierała wzdychając te ofiary, z których najmniejszych prószynki przyjąć nie mogłem.

Trwało to wszystko, jak powiadam, czas jakiś bez większych komplikacji. Na Wielkanoc, oprócz Sawickiego, którego wprzód poznałem, bardzo zacnego człowieka, posłusznego żonie, powolnego i niepodejrzliwego, przybyli do Zabłocia państwo Baranowiczowie oboje.

O całej mojej historii, położeniu w domu starostwa słyszeli już wprzód; nie podobało się im to mocno.

Sam Baranowicz, człowiek niezmiernie o grosz dbały, zapobiegliwy, nie pochwalał wypuszczenia mi Rutek w dzierzawę, jak się wyrażał, za psie pieniądze, we mnie widział zawczasu, nie znając, awanturnika, który wyzyskiwał słabość, a jak on mówił, obłąkanie i zdziecinnienie starościny. Pani Baranowiczowa tak samo widziała przez oczy mężowskie, jak Sawicki przez źrenice żony. Gotowała się tedy burza z mojego powodu, której ja ani się domyślałem, ani przewidywałem.

Gdy w Wielkim Tygodniu przybyli Baranowiczowie, byłem w Rutkach; pierwsze więc sceny wstępne odegrały się beze mnie. Gwałtowniejszego charakteru od siostry, pani Baranowiczowa, mocno już w drodze przez męża przygotowana, zaledwie przybywszy i pozostawszy sam na sam z matką, poczęła jej czynić wyrzuty, że się na śmiech ludzki naraża, obcym ludziom dając z siebie korzystać, krzywdząc własne dzieci dla jakichś awanturników itd.

Staruszka wysłuchiwała cierpliwie wyrzutów córki, wstrzymała się od odpowiedzi, zmilczała. Poprosiła potem do siebie męża i, co mówili na osobności, tego nikt nie wiedział. Scena jakaś zaszła z Baranowiczem potem, który, nie czekając Wielkiej Nocy, pod pozorem pilnego interesu, wyjechał z Zabłocia. Żonę tylko zostawił na straży.

Gdym zawczasu zaproszony na święta przybył w Wielką sobotę do Zabłocia, stary kamerdyner czekał już na mnie w ganku i prosił, abym z nim szedł do starościny. Zastałem ją samą, przy pacierzach. Jak zwykle, pocałowała mnie w głowę.

– Mój Włodziu – rzekła, bo inaczej mnie nazywać nie chciała – uczyni to dla mnie, bądź cierpliwy i wyrozumiały dla tej mojej poczciwej Baranowiczowej, która tu jest. Ja tego ci nie potrzebuję mówić, bo ona zawsze taka była młodą. To biedactwo zawsze kwaśne, smutne, kapryśne więc choćby tam czasem syknęła, a skrzywiła się, nie zważaj, moje dziecko, nie zważaj! Moje serce ci to nagrodzi. Zawsze to... (tu się rozśmiała do mnie z porozumieniem) zawsze to... siostra... Już rozumiesz.

Z tym mnie staruszka odpuściła.

Poszedłem do Bogusza, który mnie z podwojoną przyjął grzecznością, ale o Baranowiczach tyle tylko wspomniął, że on sam bardzo żało-

wał, iż mu niezmiernie gwałtowny wypadł interes i wyjechać musiał, a poznać mnie nie będzie miał przyjemności.

W pokoju zastałem panią Sawicką, także serdeczną bardzo, jakby już zawsze za to, co od siostry miałem uciepieć, płacić mi chciała. Lorcia też przyjęła mnie jakby prawdziwego wujaszka.

Na kanapie siedząca majestatycznie pani Baranowiczowa, gdym się jej przedstawił, zaledwie głową mi kiwnąć raczyła. Z twarzy i jej wyrazu wyczytałem wypowiedzenie wojny. Przestroga staruszki już mi się jej kazała spodziewać. Co było robić? Mężne stawić czoło i – cierpieć. Tegoż wieczora poczęły się podjazdowe wycieczki, przekąsy, umyślne uchybienia i postponowanie, ale starościna, jakby na przekór, była nadzwyczaj czułą.

Usuwałem się sprzed oblicza zagniewanej pani i na ten raz posłużyło mi to wcale nieźle, bo, uciekając od niej, miałem zręczność zbliżenia się do Lorcii. Byliśmy z nią co dzień lepiej i bliżej, a siostra, która się widać domyślała czegoś, serdecznie nam pomagała.

– Niech się pan nie boi cioci Baranowiczowej i jej złych humorów – szepnęła mi Lorcia – ma migrenę, ale jej to przechodzi. Jeden na to sposób: nie trzeba zważać.

Trochę to było trudnym, bo nie tylko oczów, uszu też trzeba było nie mieć, aby nieustannych ukłuć, nie brać do siebie. Im mniej występowa- nie to przeciw mnie miało skutku, tym pani Baranowiczowa dozę lekar- stwa podwajała.

Jakem się później dowiedział, dała słowo mężowi, że mnie stąd wy- kurzy. Brała się do tego, trzeba przyznać, z niewieścią gorączką i zapa- łem, a niezbyt zręcznie. Jednakże podrażniła mnie tego wieczora okrut- nie.

Nazajutrz zjechało się mnóstwo gości. Między innymi (wszystko to później się dopiero odkryło) przybył forytowany do Lorcii przez Barano- wiczów niejaki Kuźmiński. Jejmość, pierwszego już wieczora spostrze- gwszy moje zbliżanie się do panny, podwójnie tym przeciw mnie pobu- rzona, przed święconym pono wzięła na stronę Kuźmińskiego i dała mu instrukcję.

Miał być narzędziem do pozbycia się mnie z Zabłocia.

Słówko o tym Kuźmińskim. Mężczyzna był w moim wieku, także w młodych latach trochę wojskowego chleba kosztował, słuszny, przy- stojny, zręczny, silny, gospodarz dobry, człek uczciwy, ale głowę miał

tępą i defekt brzydki, bo się jąkał. Czasem udawało mu się przez cały dzień mówić płynnie i zatrzymać się na jednym słowie, ale bywały na niego chwile, że, strwożywszy się, co moment się zająkiwał, a gdy go to napadło, czerwieniał, twarz mu nabiegała i mało że w konwulsje nie wpadał. Szczególniej, gdy poruszony był, rozgniewał się, napił więcej, podpadał temu kalectwu. Sam przez się mało co robił, zawsze go ktoś popychał. Na teraz kierownictwo wzięła Baranowiczowa. Kuźmiński był bardzo majątny, stateczny, nic mu oprócz tego jkania i słabej głowy zarzucić nie było można.

Przy święconym jajku poznałem się z wszystkimi: i z księdzem kanonikiem Supajłą, przyjacielem domu, który po raz pierwszy przy mnie tu przybywał (pono dalekim krewnym Boguszów) i z sędzią Rozwadowskim, powinowatym samej pani, i z innymi wielą. Kuźmiński mi się z dała pokłonił, ja jemu, skończyło się na tym. Gdy mi Lorcia podała do podziału święcone jajo, przypadkiem obejrawszy się ku niemu, zobaczyłem go w płomieniach, dostrzegł, żeśmy coś poufale szeptali, i ona się zarumieniła.

Dzień zszedł jako tako, bo osób było dużo i rozmowy ogólne, obojętne. Starościna, jakby umyślnie, starała się mnie trzymać przy sobie i okazywać publicznie to przywiązanie, jakie ku mnie powzięła. Mówiła o mnie kanonikowi, rozповідаła Rozwadowskiemu, musiała Kuźmińskiemu coś powiedzieć, uderzało to wszystkich, że byłem tu, jak w domu. Nie przechwalając się tymi łaskami, nie mogłem się znów taić.

Nazajutrz niektórzy z gości się rozjechali, inni przybyli, Kuźmiński został. Na trzeci dzień Wielkiej Nocy, gdy jeszcze był w moim mieszkaniu z rana i kończyłem się ubierać, usłyszałem kroki, patrzę, wchodzi sztywny, wyprostowany, z miną jakąś junacką razem i pomieszany Kuźmiński.

Przywitaliśmy się zimno.

– Ja tu do waćpana dobrodzieja z małym interesikiem – odezwał się, nie chcąc uisnąć przybyły.

– Do usług.

– Może to zapytanie będzie śmiałe – rzekł – ale jam żołnierz, pan też, otwartość jest naszym przymiotem. Po kryjomu i podstępnie nie mam zwyczaju nic czynić.

– Ja też – wtrąciłem.

– Mam zamiar, szczerze panu mówię, o pannę Sawicką konkurować, a przestrzegam, że mogę mieć w panu rywala, jeżeli się nie mylę. Więc – karty na stół.

Ruszyłem ramionami.

– Trochę to dziwne pytanie – odpowiedziałem – wszelakoż nie wzdrygam się na nie dać odpowiedź. O pannę, która nikomu nie jest ni przeznaczoną, ni przyrzeczoną, ni zaręczoną, każdemu się starać wolno. Mnie i panu. Nie wiadomo, komu Bóg da szczęście.

– Ja bo nikomu w drogę nie lubię włożyć i nie pozwolę też, aby mnie kto włożył.

Spojrzałem nań.

– Jak to pan rozumie, to *nie pozwolę*? – spytałem.

– Niech pan to sobie tłumaczy, jak chce – rzekł, trochę już jękając się Kuźmiński.

Zmierzyliśmy się oczyma, zatarł czuba i z wolna się po pokoju przechadzać zaczął.

– A gdybym ja to wziął za wyzwanie! – spytałem.

– Jam nie od tego! – odparł, coraz mocniej się jękając.

– Ja także nigdy nie odmawiam zaprosin tego rodzaju – odezwałem się. – Zważ pan tylko, że oba o pannę nie mamy prawa się bić, bo żaden z nas jeszcze się do niej ani zbliżył. Uczynię panu tę refleksję, że do wyrażania się mamy czas, a gdybyś mnie istotnie wyzwał, toby mu prędzej zaszkodziło do panny, niż pomogło.

Kuźmiński się zamyślił.

– Jeżeli pan dobrodziej – dodałem – masz jaki inny słuszny powód zahaczenia się ze mną, na przykład, jeżeli się mu nos mój nie podobał, albo mina, lub chód, to co innego.

Mówiłem drwiąco, bo mnie znecierpliwił; odwrócił się żywo.

– Dostyc tych kilka słów, abym powód miał – rzekł. – Po świętach się skomunikujemy. Tymczasem, spodziewam się, zostanie to między nami.

– Możesz pan być spokojny – odpowiedziałem – uregulujemy to na przewody, czy po przewodach, a tu w domu gościnnym u starostwa dajmy sobie pokój.

Sklonił się, ja jemu, wyszedł. Poznałem z miny pani Baranowiczowej, gdy się z nią spotkał przy święconym, bo tu ono cały tydzień trwało, że wiedziała już o wszystkim. Wzrokiem urażliwym, zwyczajem

rzuciła na mnie, podwoilem wesołość i nadszakiwania około Lorci; Kuźmiński chodził struty.

Nie mam się czym chwalić, bo mnie tak Pan Bóg stworzył i Jemu, nie sobie to winienem, ale jest i było zawsze ze mną tak, że na długą metę gniewu nigdy utrzymać nie mogłem. Łatwo mnie było rozsierdzić aż do pasji, ale żebym się ze złością w sercu całe lata nosił! od tego mnie uchowała łaska Boża. Kuźmiński swoim wystąpieniem trochę mnie na siebie obruszył w pierwszej chwili, ale msty już nie było. Wiedziałem, że sobą nie władał, że go popychano, prawie mi go już żal było. Nie dałem mu w najmniejszej rzeczy poznać, że żal jakiś miał do niego. Owszem przy stole, w rozmowie, zamiast się mu sprzeciwić i szukać zwady, pomagałem. Zająknął się parę razy, podszeptając mu słowo po cichu, bez śmiechu, boć biedne człeczysko defektowi, którym go Bóg dotknął, nie był winien. Uważałem, że to jakoś przyjął wdzięcznie i był jakby skonfundowany. Nie chcąc znowu, by sądził, że go sobie jednam, unikałem go.

Drugiego dnia Kuźmiński, czegoś kwaśny, po obiedzie się posprzechał o marną rzecz z jednym z sąsiadów, szło o rozwiązanie, kto miał słuszość. Byłem przy tym, obrócono się do mnie. Krótko a węzłowato przekonałem, że słuszość była na ten raz przy Kuźmińskim. Poszedłem zaraz precz, aby mi nie potrzebował dziękować; a no, co prawda, to prawda. Nie odjeżdżał do przewodów. Nie wiem tam, z czego poszło, że starosta mu opowiedział moje przybycie do ich domu i całą historię, ze łzami w oczach. W sobotę rano, gdy się gołę, znowu słyszę, drepce ktoś, wchodzi Kuźmiński, ale skonfundowany niezmiernie i całkiem inny. Chce coś zacząć mówić, jak się zaciął, ani sposobu.

Żał mi go było, więc zagadałem zręcznie, dając mu się wyprychać i nie okazując po sobie nic, ochłoniął jakoś.

– Wiesz pan co – odezwał się do mnie nareszcie – miałem sposobność przekonać się, że pan jesteś dobry człowiek. Co my mamy dla babskich spraw się zadzierać, to głupstwo, dajmy sobie ręce – i niech będzie zgoda.

Podąłem mu rękę chętnie.

– Słuchaj, mój poruczniku – rzekłem – daję ci słowo, że do panny przeszkadzać ani chcę, ani myślę. Serca jej ani pałasz, ani kula nie da, staraj się, ja stoję na boku.

– Panna ani patrzy na mnie – rzekł.

SPIS TREŚCI

<i>Józef Ignacy Kraszewski:</i> UPIÓR	5
<i>Antoni Pietkiewicz:</i> GOŚĆ Z GROBU	40
<i>Antoni Pietkiewicz:</i> DRZEWO PRZEKLĘTE	53
<i>Seweryn Goszczyński:</i> KRÓL ZAMCZYSKA	76